

Choraław Gdańska jedzie na Zimową Watrę Wędrowniczą 2013. (inicjatywa oddolna)

Pomysł wyjazdu na Watrę zrodził się spontanicznie, jak sama Watra. Na którymś z kursów HSR instruktorka z Wrocławia zapytała czy ktoś się wybiera. Wtedy pomyślałem sobie „czemu nie!”. Minęły 3 tygodnie...

Wychodzę z tunelu w Gdańsku Głównym i jak zawsze kieruje się do kas. Otwieram drzwi, a tu ściana z płyty wiórowej i żółte tablice „PRZEBUDOWA DWORCA”. No trudno, Kuchcika spotykam w umówionym miejscu pod McDonald's. Do odjazdu pociągu zostało 10 minut, więc kierujemy się na peron. Idziemy tunelem i zalewa nas wszechobecny zapach pączków – jest tłusty czwartek, czym innym miałyby pachnieć w tunelu? Pociąg podjechał o czasie, tarabanimy się z plecakami przez jakże szerokie drzwi polskich pociągów. Z jednej strony plecaka karimata, z drugiej namiot – na pewno się zmieszczę. No nic, po tylu latach włączęgi PKP mam już patenty na takie problemy. W przedziale czeka już Marek. Marek jest instruktorem zuchowym w hufcu Gdynia. Rozkładamy graty, wyciągamy wałówkę, co by była na podporędku. Nareszcie ruszamy! Jest coś nadzwyczajnego w przemieszczaniu się, w podróży. Mimo, że po prostu jedziemy pociągiem to czuje, że coś się zaczęło, że ruszam na kolejną wędrówkę. Z Kuchcikiem znam się od 12 lat – przeszliśmy razem niejedne góry, przejechaliśmy stopem niejedną drogę – ale Marka nie znam w ogóle. Gadamy zatem jak starzy harcerze co, kto, gdzie i z kim robił, robi i co zamierza robić. Opowiadamy o przeszłości, o planach, o spostrzeżeniach dotyczących harcerstwa, sytuacji społecznej i ekonomicznej w kraju, nadziejach na przyszłość. W czasie rozmowy czas szybko leci. Do Warszawy docieramy zgodnie z rozkładem. Dosiada się Ania, instruktorka hufca Gdańsk Wrzeszcz-Oliwa, szefowa HKR-u i przyboczna w gromadzie zuchowej. Ekipa prawie w komplecie. Jest jakoś pierwsza w nocy i trochę śpiak nas ogarnia. Rozkładam karimatę na podłodze, wyciągam śpiwór i oddaje się przyjemnym kołysaniom, tak hojnie serwowanym przez spółkę PKP Intercity.

Gdzieś w środku nicości budzi mnie konduktor, oczywiście chciałby zobaczyć nasze bilety. Mamy bilet abonamentowy – taki wynalazek PKP, który jak widać ułatwia życie pasażerom, a utrudnia konduktorom. Mimo wielu lat doświadczenia, jakie maluje się na twarzy człowieka w granatowym mundurze, pan „bileter” krzywi się i wysila, aby coś z owego biletu zrozumieć. W końcu powtórzyłem panu to, co mi kasjerka powiedziała i jakoś uzyskaliśmy wymarzoną podłużną czerwoną pieczętkę. Akcja z różnymi konduktorami powtarza się jeszcze 2 razy, ale widać inni słuźbiści, widząc postawioną już wcześniej pieczętkę, nie próbują zrozumieć o co z abonamentowym biletem chodzi.

Budzę się w Krakowie Głównym. Czas zjeść ostatnie, zrobione poprzedniego dnia przez Anię, pączki. Zapijamy już lekko zimną herbatą z termosu i dzień od razu jest lepszy. Niecałe 2 godziny później jesteśmy w Suchej Beskidzkiej. Postój trwa trochę dłużej, o ile pamiętam przepina się tu lokomotywę. Ruszamy, mija parę minut i znów stajemy. Jedziemy w ostatnim wagonie i

stoimy poza jakimkolwiek peronem i dopiero po dłuższej chwili orientujemy się, że to już Maków Podhalański i musimy wysiadać. Termin „w ostatniej chwili” zupełnie nie oddaje stresu czasowego w jakim się wtedy znaleźliśmy. Udało się – na styk, na styk taki, że ostatnia osoba wysiadała z pociągu już w biegu.

Jesteśmy na miejscu – Maków, brama do Beskidu, do masywu Babiej Góry. Łapiemy busa do Zawoji, płacimy po 4 zł i jedziemy. Po 20 minutach jesteśmy na końcu na miejscu. Ostatnie zakupy i możemy ruszać w górę. Śniegu jest – lekko mówiąc – dużo. Mamy 2 dni, aby dotrzeć na „Miejsce Przypadkowego Spotkania Wędrowników na Szlaku (MPSWnS)”. Patrzymy w mapę, rozważamy różne scenariusze. Ania mówi, że kiedyś jechała wyciągiem na Mosorny Groń i taką właśnie drogę obieramy. Za 6zł nabywamy drogą kupna bilety osobowe na wyciąg i po paru minutach już siedzimy, w średnio przystosowanych do podróżowania z plecakami, krzeselkach. Mimo wszystko cała akcja z wyciągiem opłaciła się nam bardzo, bo w kilka minut robimy jakieś 400 m przewyższeń. Szybko poszło, pierwszy szczyt „zdobyty”. Przychodzi SMS od Michała, ostatniego członka naszej ekipy, który z powodu sesji nie wiedział kiedy będzie mógł wyjechać z Gdańska. Okazuje się, że Michał jest już w Makowie. Przesyłamy mu nasz plan i widząc ile jest śniegu zakładam, że przecieranie szlaku zajmie nam tyle czasu, że i tak dogoni nas przed Halą Śmietanową. Nadszedł czas prawdziwej wędrówki. Wciągamy stupty, kije trekkingowe i ruszamy. Śniegu mamy jakoś po kolana, czasem do pól uda. Idzie się tak sobie – ani lekko, ani ciężko. Tabliczka szlakowa mówi, że na Śmietanową jest jakoś 1h marszu. Jak tam dotrzemy, sprawdzimy jakie mamy spowolnienie od śniegu. Obstawiam, że jakoś 2,5-3 razy. Po 5 minutach marszu przerwa na rozebranie się. W kurtkach zapocimy się na śmierć, marsz w takim śniegu jest relatywnie męczący. Dobrze, że pogoda dopisuje – jest słonecznie, wieje lekki wiatr, widoki piękne. Szkoda, że Babia tonie w chmurach i jej nie widać. Idziemy... Nieprzetarty szlak, zawiązane na białym pinie drzew, czapy śniegu na świerkowych gałęziach... to prawdziwe dzikie piękno Beskidów. Pięknie, pięknie, ale w górę iść trzeba. Gdzieś po godzinie marszu znika słońce, znika błękitne niebo, wchodzimy w chmurę. Szlak jest tu węższy, przeciskamy się pod ugiętymi ciężarem śniegu gałęziami i co chwila komuś na głowie ląduje odczepiona od gałęzi czapa śniegu. Kilka razy musimy poważnie się zastanowić, którędy iść – ścieżka jest całkowicie zasypana, a gałęzie szczelnie chowają znaczniki szlaku. Po dwóch godzinach marszu jesteśmy na Hali Śmietanowej. Spowolnienie mamy dwukrotne – lepiej niż się spodziewałem. Michał pisze SMS, że jest niedaleko za nami. Zimno bardzo szybko daje się czuć na rozgrzanej podejściem skórze. Liczymy czasy, sprawdzamy zegar i odpuszczamy Police. Kierujemy się na przełęcz Krowiarki i tam najpewniej rozbijemy się na nocleg.

W dół idzie się trochę lżej, ale nie dużo. Śniegu jest więcej niż na podejściu, a teren w sumie niemal płaski, więc wcale nie idzie się tak lekko. Pierwszy raz do głowy przychodzi mi pytanie „czemu nie wzięliśmy rakiet?”. Marsz jest lekko monotony, z powodu chmury widoki żadne – ale humory dopisują. Co chwila leci żarcik, albo ktoś się wygłupia i robi śmieszne fotki. Pomarańczowy szlak odchodzi w lewo, a nasz – czerwony – dalej prosto. Sprawdzam mapę i przypominam sobie, że tuż przed przełęczą jest ostre krótkie podejście na górkę zwaną Syhleć. Od zimowej wyprawy w Bieszczady w 2005 roku

wiedziałem, że śnieg spowalnia marsz, ale zapomniałem już jak bardzo. To krótkie podejście pod Syhleć kosztowało nas bardzo dużo energii i czasu. Śnieg do pasa i nachylenie zbocza praktycznie uniemożliwia naszą wędrówkę. Różnymi sposobami walczymy z tą sytuacją i powoli brniemy do przodu. Dogania nas Michał, reprezentant hufca Miastko. Może to piąta dusza, a może jakaś fuzja dobrej energii – jakkolwiek tępo marszu jakby wzrosło. Po niemal pół godziny walki ze śniegiem i grawitacją zdobywamy tak niepozorny pagórek, jakim jest Syhleć. Chwila odpoczynku, czekoladka, łyżek wody i ruszamy w dół. Śniegu dalej dużo, ale teraz grawitacja jest po naszej stronie. Po chwili jesteśmy na przełęczy.

Jest koło 17:00. Rozglądamy się po śniegowym pustkowiu, które normalnie jest zielona polana. Zmierzch już blisko, więc wykopujemy śnieg do lodu, bo o dokopaniu się do ziemi możemy tylko pomarzyć. Rozstawiamy namioty. Pod karimatami ładują kurtki, zapasowe skarpety i wszelakie inne rzeczy mogące zwiększyć izolację od podłoża. Odpalamy kuchenki gazowe – dziś w menu puree ziemniaczane z kabanosem, herbata i czekolada na deser. Po obiedzie wszyscy zbieramy się w jednym namiocie na „wieczorne Polaków rozmowy”. Kiedy 5 osób przebywa w 3-osobowym igloo dłużej niż 2 minuty, atmosfera staje się... gęsta – i chodzi mi nie o emocje, a o czysto fizyczny wymiar gęstości atmosfery. No nic, przynajmniej jest ciepło. Jakiś bliżej nieokreślony czas później wracamy z Kuchcikiem do swojego namiotu, zawijamy się szczelnie w śpiwory. W nocy słyszymy co najmniej 4 ekipy idące do Markowych Szczawin lub na Babią Górę. Słyszymy wyraźnie, bo nasze namioty stoją niemal na jedynej wydeptanej przez polanę ścieżce.

Ranek wita nas dobra pogodą i chłodem. Po wyjściu z namiotu natrafiam na około 30-osobową ekipę idącą na Babią. Niemal wszyscy pytają jak się spało. Niemal wszystkim odpowiadamy, że dobrze. Kilka osób nawet zrobiło nam zdjęcia, a jedna zapytała – ani to siebie, ani to nas – czy tu można się rozbijać legalnie. No cóż, my utrzymujemy, że granica parku przechodzi tuż za naszymi namiotami, przecież wyraźnie widać na mapie!

Na śniadanie kaszka manna z rodzynkami i herbata. Chwila na analizę mapy. Sprawdzamy czasy i wyliczamy, że przy takim śniegu nie mamy szans, aby dotrzeć do „miejsca przypadkowego spotkania wędrowników na szlaku (MPSWnS)” na czas, idąc przez Markowe Szczawiny i dalej czerwonym. Dzielimy się zatem i planujemy dokonać przerzutu autostopem do Zawoji – Wełczy. Jako, że Kuchcik i ja jesteśmy znani z pecha do autostopa, mamy ruszać jako pierwsi. Pakujemy graty, zwijamy namiot i o 08:30 jesteśmy gotowi. Ledwo wyszliśmy na drogę i jedzie pierwszy samochód. Od niechcenia machamy ręką, bo jeszcze dobrze nie otrzepaliśmy śniegu ze spodni, a samochód staje. No trudno – jak już stanął to podjedziemy. Miły pan mówi, że zawsze bierze turystów z Krowiarek. Wyrzuca nas w centrum Zawoji, a stąd mamy już tylko 3 km do Wełczy, gdzie zaczyna się szlak, który prowadzi do szlaku, który prowadzi do MPSWnS. Żeby było weselej, w Wełczy byliśmy z ekipą na biwaku sylwestrowym na przełomie 2011/12.

Schodzimy z asfaltu na niebieski szlak. Chwila postoju, aby wyjąć kije trekkingowe, poprawić sznurówki i przejść w tryb marszowy, czyli zdjąć kurtkę i grube rękawiczki. Mimo że jest –8 stopni, podczas podejścia w głębokim śniegu łatwo się zgrzać. Moim sprawdzonym zestawem na każdą pogodę jest

bielizna z merynosa i na to softshell. Z ciekawostek, to podczas postoju zostajemy zagadani przez starszą panią, która pyta czy widok jest niecodzienny. Dopiero teraz się orientuję, że tuż obok nas, za płotem wisi martwa świnia, nad którą pracuje dwóch panów. Mówię, że widok lekko egzotyczny, ale z dzieciństwa pamiętam takie obrazki. Pani życzy miłego dnia i odchodzi. Dzwonimy do drugiej połówki naszej ekipy i okazuje się, że nasz autostopowy pech opuścił nas, ale przeszedł na nich. No nic, chyba nie ma co czekać... zacniemy przecierać szlak – przydamy się na coś, a oni i tak nas dogonią.

Ruszamy. W celach statystycznych włączam GPS, zobaczymy jak nam pójdzie podejście. Szlak oczywiście nieprzetarty – do celu 3,5 km w linii prostej. Na początku idzie się lekko. Wypoczęci, pełni zapału – szybko robimy wysokość. Z pola wchodzimy w las, śniegu jakby mniej, znowu łąka, potem idziemy strumieniem, potem znowu las. W tle piękny widok na Wełczę. Po godzinie marszu sprawdzam na GPS ile do celu... No cóż, trzeba było nie sprawdzać – zostało 2,5 km. Czyli idziemy w tempie 1 km/h. Trochę mnie to dziwi, ale cóż „fizyki nie oszukasz”. Trochę podłamani ruszamy dalej, w górę. Po kolejnej godzinie docieramy do krawędzi lasu i wychodzimy na prostopadły do naszego pierwotnego kierunku marszu garb. Sytuacja trochę się pogorszyła, śniegu jest prawie do pasa, a do tego od prawej wieje zimny wiatr. Mocniej zaciskamy dłonie na kijach i prujemy śnieg. Po kolejnych 30 minutach dochodzimy do żółtego szlaku, którym wczoraj najwyraźniej ktoś szedł. Życie nagle zrobiło się łatwiejsze – do celu tylko 550 m, szlak przed nami częściowo przetarty, śniegu już tylko po kolana, a nie po pas. Wesoło ruszamy do przodu. Po parunastu minutach jesteśmy w gęstym świerkowym lesie. Obsypane śniegiem gałęzie wiszą nisko nad ścieżką i w sumie nie widać dalej niż 5 m do przodu. Ładnie tu, naprawdę ładnie. Nagle – na tyle nagle, na ile rzeczy mogą dziać się nagle kiedy człowiek porusza się pieszo w śniegu po kolana – kończy się las i naszym oczom ukazuje się charakterystyczny słup zrobiony z suszki i przypięte do niego tabliczki szlakowe. No to jesteśmy. No tak, ile można było iść 500 m? Wychodzimy na halę. Wychodzimy to dużo powiedziane, bo na owej hali śniegu jest zdecydowanie powyżej pasa. Przedzieramy się przez śnieg w stronę szałasów 20 m od nas. Czas na herbatę i przekąskę. Widać jesteśmy pierwsi – nic dziwnego, jest dopiero 14.00. Po chwili pojawiają się jacyś ludzie na nartach wędrownych (z angielskiego nazywanych skiturowymi). Wymieniamy standardowy zestaw uprzejmych pytań, typowy dla ludzi, którzy spotkali się na jakimś końcu jakiegoś świata. Mili ludzie, ale na pewno nie przyszli tu przypadkowo spotkać się na szlaku. Temperatura jest zdecydowanie poniżej zera i w miarę stania robi się zimniej, a w miarę „zimniej” rośnie w nas przekonanie, że nadchodzi czas, aby rozejrzeć się za miejscem dla naszego namiotu. Wchodzimy w las i zaczynamy ryć w śniegu prostokącik. W lesie na szczęście jest mniej śniegu niż na hali. Po 15 minutach namiot już stoi. Rozkładamy karimaty i rozpoczynamy „alarm śpiworkowy”. Parę minut później pojawiają się dwie dziewczyny i wyraźnie ucieszone na nasz widok mówią do siebie, że ktoś tam nie żartował i faktycznie ktoś jest tu rozbity pod namiotem. Zagadujemy, ale one też nie są ze Związku. Parę minut później pojawia się kolejny człowiek. Brnie przez śnieg w stronę naszego namiotu. Coś mi mówi, że on jest ze Związku – może to charakterystyczne spojrzenie, a może skautowy kapelusz. Pyta nas o organizatorów, ale z tego co wiem to PSWnS

nie ma organizatora w sensie biura do którego trzeba się zameldować i tak też odpowiadamy. No nic, skoro nie jesteśmy już jedynymi Związkowcami na tym odludziu i ktoś przejmie od nas zaszczytny obowiązek odpowiadania na pytania typu „czy to tutaj”, na poważnie bierzemy się za wypełnianie obowiązków wynikających z ogłoszonego wcześniej alarmu śpiworkowego.

Gdzieś przez podświadomość słyszę głosy naszych ludków – Ani, Marka i Michała. Czyli doszli... czyli można wracać do drzemki. Po chwili otwieram oczy i już jest 16.00. Czas na obiad. Dziś w menu – uwaga, uwaga – to co wczoraj, czyli puree ziemniaczane z kabanosem. A po obiedzie czas na drzemkę, w tej sprawie jesteśmy z Kuchcikiem wyjątkowo zgodni. Nie można tak chodzić po dzikich i niebezpiecznych górach z pełnym żołądkiem, zwiększa to stopień zagrożenia lawinowego. Znowu się przebudzam i słyszę, że wokoło nazbierało się ludzi wszelakich. Tu ktoś krzyczy, żeby kopać, tam ktoś szuka Basi i Karola. Czyli się zaczęło... PSWnS rośnie w siłę. Michał przynosi wieści, że około 20-tej ma być wspólne ognisko. Czyli mamy jeszcze trochę czasu na drzemkę – o jak dobrze, że drzemanie jest tak zajmujące, bo inaczej mógłbym się nudzić.

Około 19:30 wypelzamy z namiotu z ambitnym zadaniem integrowania się z ludnością Związkową z różnych zakątków Polski. Idziemy od lewej. Natrafiamy na człowieka wieszającego kod-flag na wędce, potem grupa ludzi przy ognisku z Mokotowa, z Łodzi, z Konina, z Poznania, z Gliwic, z Olsztyna i nawet ktoś przyznaje się do Gdyni – ale to tylko przykrywką jak się okazuje. Gdzieś w okolicy szałas na hali spotykamy ludzi z Harcerskiej Służby Lednica – w końcu ktoś znajomy. Chwilę gadamy i ruszamy po drewno na ogień. Poszczyliło się nam – Kuchcik wypatrzył suszkę świerkową. Po dwóch minutach walki jest nasza. Patrząc na innych uczestników polowania na opał widzę, że wyrobiliśmy normę z nawiązką. Ale dla nas norma i nawiązka to za mało, robimy jeszcze jedną rundkę po małe patyki i dopiero niesiemy wszystko na miejsce. Widzę, że nie tylko nam się suszka trafiła – będzie dobrze. Po parunastu minutach „Płonie ognisko i szumią knieje” nie tylko się dzieje i brzmi... i to jak... brzmi chyba dwusetką wędrowniczych gardeł.

Wstajemy przed 6.00 rano. Na śniadanie kaszka manna z rodzynkami, herbata. Zwijamy namiot i ruszamy. Pociąg mamy dopiero o 11:27 ale jesteśmy kawał od dworca, gdzieś w górach. Marsz w dół idzie sprawnie. Po około półtorej godziny jesteśmy w wiosce. Niedziela rano, szanse na stopa takie sobie. Ruszamy w stronę Suchej. Jest przystanek PKS, z rozkładu wynika, że za godzinę mamy busa, więc spokojnie sobie dreptamy. Jak nie przyjedzie ten bus to będziemy ugotowani. Bus na szczęście pojawia się o czasie i tak kończy się nasza wyprawa. Teraz już proza życia – powrót do cywilizacji, do domu. W Suchej jesteśmy na tyle wcześnie, że bez pośpiechu odwiedzamy spożywczy celem pozyskania śniadania. W dobrym towarzystwie czas na dworcu leci szybko. Podjeżdża pociąg, wsiadamy... koniec przygody.

phm. Piotr cywil Cywiński
Hufiec ZHP Gdynia
cywilex@gmail.com